

UKRAINIEC POWIEDZIAŁ: „ZABIJĘ WAS”

[...] Atak nastąpił w biały dzień, około godz. 15 może 16. Byłem¹ w tym czasie na swoim podwórku, gdy zobaczyłem, że dookoła palą się polskie budynki gospodarcze. Ogień przybierał na sile we wsi Mariawola² oraz na początku naszej kolonii [Ułanówka]³. Nasz tato – mając lepsze rozeznanie niż ja – potwierdził, że podpalono polskie zabudowania. W tym czasie całą drogą, która wiodła przez naszą wieś, uciekali już ludzie do lasu. Byli to w przeważającej liczbie Ukraińcy, którzy z całymi rodzinami i z dobytkiem na wozach szukali schronienia w lesie. W tej decydującej o naszym życiu chwili, nasza mama krzyknęła głośno: „Rozproście się, uciekajcie razem we dwóch, może ktoś z was przeżyje!”. Natychmiast ja i mój brat Stanisław posłuchaliśmy naszej mamy i dołączyliśmy do kolumny uciekających Ukraińców.

Tu tylko trochę poculiśmy się bezpieczniej, trwało to jednak bardzo krótko. Oto bowiem niektóre ukraińskie dzieci, z którymi razem uciekaliśmy do lasu, poczęły rzucać w nas grudami ziemi i krzyczały przy tym tak: „Wy, Lachy!!! Wracajcie się!”. Jednak ani ja, ani mój brat pod wpływem grożącego większego niebezpieczeństwa nie zważyliśmy właściwie na te wystąpienia jedenasto-, może dwunastoletnich dzieci. I pomimo że starsi Ukraińcy nie tylko akceptowali to zachowanie, ale krzyczeli pod naszym adresem tak samo, zdecydowaliśmy się uciekać z nimi dalej.

Gdy znaleźliśmy się w lesie, zatrzymaliśmy się i mieliśmy nadzieję, że teraz będzie już bezpieczniej, że trochę odpoczniemy. Tymczasem jeden z dorosłych Ukraińców lat około pięćdziesięciu, którego nie znaleźmy, przyjrzał nam się, a następnie powiedział do nas: „Ja was zabiję!”. Po tych słowach schylił się do swojego wozu i zaczął odpinać orczyk. W tym momencie rzuciliśmy się do ucieczki, nie mieliśmy ochoty, aby nas tym orczykiem po ukraińsku pogłaskał. Gdy uciekaliśmy, byliśmy śmiertelnie wystraszeni i bardzo płakaliśmy w obliczu objawionej, lecz tak niezrozumiałej dla nas – jako jeszcze przecież małych chłopców – nienawiści.

Uciekaliśmy przed siebie, aby dalej od tego straszego miejsca; w końcu zrobiło się ciemno, a my trafiliśmy na nasze pole, położone tuż obok naszego domu. Gdy tam przebywaliśmy, znalazł nas znajomy Ukrainiec, stary Homelko, lat około sześćdziesięciu, i zabrał do swojego domu, obiecując się nami zaopiekować. Gdy tylko znaleźliśmy się w jego domu, zaraz legliśmy na łóżku, które stało w kuchni i zasnęliśmy prawie natychmiast, choć pod nami była tylko słoma. Tak byliśmy już mocno wyczerpani.

¹ Wspomnienia Mariana Sikorskiego, byłego mieszkańca kolonii Ułanówka w pow. włodzimierskim na Wołyniu, zostały nagrane na taśmę magnetofonową w 2003 r. i spisane przez Sławomira Rocha oraz przekazane przez niego do Biura Edukacji Publicznej IPN (znajdują się także w zbiorach E. Siemaszko). Tutaj zamieszczamy tylko fragment tych wspomnień.

² Mariawola to nie wieś, lecz kolonia w gm. Mikulicze, pow. włodzimierski, woj. wołyńskie.

³ Ułanówka, w gm. Mikulicze, do lutego 1940 r. była osadą wojskową. Po deportacji osadników w głąb Związku Sowieckiego władze sowieckie przesiedliły do Ułanówki mieszkańców przygranicznego pasa nadbużańskiego.

W tym czasie do domu Ukraińca Homelki naschodziło się wielu Ukraińców i urządzili sobie pijacką libację. Jeden z nich w trakcie ucztowania najwyraźniej się przewrócił i upadł do tyłu na łóżko, na którym spałem ja i mój brat, tak że przygniótł mi nogi. Do tej pory spałem tak twardo, że nic nie słyszałem, co się dookoła mnie działo, teraz jednak przebudziłem się, a on z miejsca zaczął mnie po ukraińsku przepraszać, mówiąc: „*Praszczaj, praszczaj*”. W tym samym czasie jego towarzysze wznosili do góry samogonkę, pili łączywie i krzyczeli na cały głos radośnie: „*Vivat Ukraina!*”. Krzyczeli jeden przez drugiego, tak że robił się z tego „wielki *jarmok*”.

Uświadomiłem sobie, że jestem w samym gnieździe szerszeni, w samym piekle, byłem przekonany, że gdyby ci pseudobohaterzy Ukrainy poznali, że te śpiące na łóżku dzieci to „Polaczki”, ubiliby nas tam na miejscu. [...] Mieli przy sobie siekiery i noże, mocno okrwawione. [...] Pamiętam jeszcze tylko, że w kuchni było też siwo od dymu papierosowego. Potem znowu zasnąłem tak głęboko, że nic już do mnie więcej nie dotarło.

Obudziłem się ponownie dopiero nad ranem, gdy słoneczne promienie spoczęły na mojej twarzy. W kuchni było już pusto. Natychmiast obudziłem Staszka i wybiegliśmy z domu na podwórze, ale tam też już nikogo nie było. Wtedy spojrzeliśmy na nasz dom i zauważyliśmy wydobywający się dym z komina. Baliśmy się jednak iść wprost do domu. Gdy podeszliśmy bliżej, ujrzeliśmy, jak dwóch Ukraińców stoi na naszym podwórku i o czymś rozmawiają. Kryjąc się, zbliżyliśmy się do nich, aby podsłuchać, o czym to teraz rozprawiają. Jednak jeden z nich, znajomy Kulisz, zobaczył nas i uderzył mnie batem po nogach. Natychmiast rzuciliśmy się do ucieczki i wpadliśmy do naszego domu. Tu zastaliśmy już prawie całą naszą rodzinę. Wszyscy szczęśliwie ocaleli. Jak dotąd brakowało wciąż naszego taty i najstarszego brata Bolesława. Jednak ku niezmiernej radości wszystkich, po piętnastu minutach przyszli i oni, cali, zdrowi. Teraz wszyscy zaczęli opowiadać, jakim cudem uniknęli śmierci oraz co się stało z pozostałymi mieszkańcami naszej kolonii.

Pierwsza rozpoczęła mama. Zaraz na początku napadu ukryła się w maku w naszym ogrodzie, razem z nią były moje dwie rodzone siostry oraz malutki jeszcze brat Tadeusz. Po chwili zobaczyła znajomego Ukraińca, jeszcze z Izowa nad Bugiem⁴, obecnie również zamieszkałego w Ułanówce, Kulisza. Szedł drogą przez naszą kolonię i prowadził ze sobą Polaków: starego Kobylarza, jego żonę oraz ich wnuczka Bolesława, lat około siedmiu.

– Słyszałam jak Kulisz mówił do Kobylarza tak: „Chodźcie, chodźcie! Zobaczmy, co tam u was się dzieje, kto tam do was przyjechał?”. Bardzo chciałam ich w tym momencie ostrzec, aby nie szli do swojego domu i już miałam krzyknąć do nich z ukrycia: „Nie idźcie do swojego domu, bo was tam wybija”, ale – niestety – przestraszyłam się Ukraińca Kulisza, który był z nimi. Oni tymczasem oddalili się i podchodzili powoli pod górę, gdzie stał ich dom, wtedy naprzeciw nich wyszło dwóch innych Ukraińców, uzbrojonych w karabiny i od razu gromko krzyknęli: „*Ruki wierch!*”. Gdy natychmiast zastosowali się do rozkazu i podnieśli ręce, powiedzieli do Kulisza: „*Ty puskaj!*” i już razem poprowadzili biednych Kobylarzy dalej w stronę ich domu, ale już pod bronią. Gdy tylko zeszli z głównego traktu na drogę prowadzącą do ich domu, Kulisz zdradziecko rzucił się na starego Kobylarza i począł gwałtownie wykręcać, a nawet łamać mu ręce. Potem zaczął też łamać mu nogi, gdy Kobylarz usiłował się wyrwać oprawcom, drugi Ukrainiec o nazwisku Taszak, sąsiad Kobylarza, uderzył go mocno siekierą w głowę, rozcinając ją niemal na pół. Jedna połowa głowy wraz z mózgiem padła od

⁴ Wieś w gm. Chotiaczów, pow. włodzimierski, skąd przesiedlono w 1940 r. mieszkańców do Ułanówki.

razu na drogę, z drugą konający Kobylarz, około siedemdziesięcioletni, zdołał jeszcze przebiec czternaście rzędów kartofli, zanim upadł na ziemię.

Moja mama tak to sobie wszystko wyobraziła, bowiem na własne oczy widziała ich wszystkich z ukrycia, do momentu kiedy weszli na górę i za nią znikli. Miała zresztą do tego podstawy, opowiadała bowiem dalej tak: – Jak tylko znikli mi z oczu za górką, już niedaleko domu Kobylarzy, zaraz usłyszałam głos starego Kobylarza: „Kulisz! ja ci nic nie jestem winien!”, a po chwili krzyknął głośno: „Rany Boga!”, w tym momencie usłyszałam głucho uderzenie siekierą”.

Z tego, co opowiadała moja mama, zrozumiałem, że ona i moje rodzeństwo znajdowali się ukryci około 250 m od miejsca zbrodni. Pragnę podkreślić, że także ja słyszałem wyraźnie wołanie pana Kobylarza: „Rany Boga!”, a potem jakby odgłos głucho uderzenia siekiery, potem zapanowała głucha cisza. W tym momencie w swoim sercu domyślałem się, że ktoś właśnie został zamordowany, nie mogłem jednak być naocznym świadkiem tych wydarzeń, gdyż byłem już w tym momencie w lesie wraz z moim bratem Staszkiem, około 400 m od miejsca zbrodni. Po dziesięciu minutach usłyszałem jeszcze od strony domu Kobylarzy jeden strzał, a potem dwa kolejne.

Gdy mama to wszystko opowiedziała, po chwili do naszego domu przyszedli: Kobylarz Stanisław, Tadeusz oraz Kazimierz i razem wybraliśmy się do ich domu, aby zobaczyć, co się stało z ich rodzicami. Gdy przyszedliśmy na miejsce, mózg i jedna połowa głowy wciąż leżały na drodze, a pozostała część ciała niedaleko w kartoflisku. To było wstrząsające, pod ciężarem tej tragedii osobiście liczyłem, ile rzędów rosnących ziemniaków przebiegł ten człowiek z połową głowy, było ich aż 14. Po chwili poszliśmy dalej na podwórko i tam zobaczyliśmy na trawie ciało ich matki, lat około siedemdziesięciu. Leżała z rozłożonymi rękami, ledwie w samej koszulinie, znać było wyraźnie dwie rany postrzałowe na piersiach. Małego Bolesława oprawcy postrzelili, gdy próbował uciekać, i ciężko zranili, zdołał co prawda ukryć się jeszcze w zbożu, ale wykrwawił się do rana.

Gdy my przyszedliśmy na podwórko Kobylarzy, był tam już obecny Ukrainiec Taszak, który do tego czasu zdążył już wykopać duży dół na ciała, rzucił na jego dno pierzynę i zaczął ścigać ciała pomordowanych. Ja i synowie zabitych rodziców stanęliśmy nad tą mogiłą i zaczęliśmy śpiewać pieśni żałobne i inne kościelne. W tym momencie z lasu odezwał się karabin maszynowy, przestraszyliśmy się i natychmiast rzuciliśmy się do ucieczki. Po chwili byliśmy już w domu, bracia Kobylarze jeszcze tego samego dnia postanowili uciec do Włodzimierza Wołyńskiego. Jest mi wiadome, że wszyscy trzej przeżyli wojnę, niestety jeden z nich, Tadeusz, zamordowany został tuż obok swojego domu [...].

Na dwie godziny przed napadem na naszą kolonię oprawcy ukraińscy wymordowali prawie całą polską rodzinę o nazwisku Adwent, która mieszkała kawałek od nas, właściwie już pod samym lasem. Bandyci napadli na ich dom w samo południe, kiedy wszyscy razem jedli obiad. Niespodziewanie i gwałtownie wdarli się do domu i obstawili całą rodzinę przy stole, następnie brali po kolei od stołu i stawiali pojedynczo pod ścianą, zabijając strzałami. Najpierw wystrzelali w ten sposób siedem sióstr, a potem ich rodziców. Po rzezi, wychodząc z domu, podpálili dom i zabudowania gospodarcze. Gryzący dym płonącego domu ocucił jedną z postrzelonych sióstr, choć została postrzelona pierwsza z wszystkich, cudem przeżyła tę masakrę pod ciałami pozostałych, którzy padali potem na nią. Będąc ciężko ranna, resztkami sił, wygramoliła się i uciekła do lasu, który znajdował się zaraz koło ich domu. Następnie przedostała się do Włodzimierza, a potem do Polski. Po wojnie spotkał ją w Zamościu mój rodzony brat, Bolesław Sikorski, i razem długo rozmawiali. Właśnie wtedy mu to wszystko osobiście opowiedziała, a on potem powtórzył wiernie to mnie. [...]

Tymczasem moja rodzina jeszcze przez dwa tygodnie przebywała w naszym domu w Ułanówce. W dzień zwyczajnie pracowaliśmy, a nocą kryliśmy się przed wciąż możliwym napadem ze strony Ukraińców. Jednak po dwóch tygodniach przyjechał do swojego gospodarstwa na krótko Binkowski, wraz z nim przyjechali także Niemcy jednym samochodem pancernym. Powiedział wtedy bez ogródek do mojego taty: „Kum, zbieraj swoją rodzinę i najpotrzebniejsze rzeczy i przyjeżdżajcie do Włodzimierza, tu nie ma co dłużej siedzieć”. Wtedy nasz tato już dłużej nie zwlekał, zaprzągnął naszą kobyłę Kasztankę do wozu, zabrał trochę najpotrzebniejszych rzeczy i pościel oraz jedną krowę i ruszyliśmy wszyscy do miasta.

Jednak moja mama pobiegła jeszcze do domu Ukraińca Kulisza, aby poinformować jego żonę Fiedorę, że ukryła nasze najcenniejsze rzeczy w ogrodzie w maku. Miała nadzieję, że ci znajomi Ukraińcy znajdą to i przechowają, a ona będzie mogła to kiedyś od nich odzyskać. W tym samym czasie, gdy kobiety rozmawiały ze sobą, nadszedł mąż Fiedory Kulisz i zapytał się żony wobec mojej mamy: „Gdzie kosa?”. Ta zaraz odpowiedziała: „W *klunii*” [stodole], a on wyraźnie się spiesząc, pobiegł w tamtą stronę. W tym momencie jego żona zmiarkowała się w jego zamiarach i przerażona krzyknęła: „Uciekajcie, Sikorska, bo was Hrycio zarżnie!”. Moja mama tak się przestraszyła, że zamiast rzucić się do ucieczki, znieruchomiała, wtedy przytomna Fiedora siłą pchnęła ją z jej podwórka. Mama wybiegła z podwórka i uciekała co sił, zaraz za nią na drogę wyskoczył z kosą w rękę Ukrainiec Hrycio Kulisz. My tymczasem o tym, co się działo, nie mieliśmy żadnego pojęcia, jechaliśmy już wozem do miasta, a obok niego szedł nasz tata z siekierą w rękę. Mamę zobaczyliśmy ponownie, jak już nas dogoniła, dopiero wtedy opowiedziała nam, co się stało i jak ją Kulisz jeszcze kawałek drogi przez wieś gonił. W końcu jednak zrezygnował, chyba także dlatego, że zobaczył naszego tatę idącego obok wozu z siekierą. Podczas naszej drogi był jeszcze jeden niebezpieczny moment, gdy ktoś zaczął strzelać z erkaemu, gdzieś od strony Chmielowa⁵. Poza tym nie było innych niespodzianek i tego samego dnia szczęśliwie dojechaliśmy do rogatek miasta. Tu zatrzymali nas Niemcy i sprawdzali nasze dokumenty. Pamiętam, jak strażnik zapytał: „Tam *bandit*?”, nasz tata potwierdził, że uciekamy przed bandytami ukraińskimi. Wtedy Niemiec ze zrozumieniem pokiwał głową, mówiąc: „*Jo, jo*” i machnął na znak, że możemy jechać dalej. Na pierwszą noc zatrzymaliśmy się u Binkowskich, ale już drugiego dnia znaleźliśmy sobie mieszkanie przy ulicy Garncarskiej i tam mieszkaliśmy około trzech miesięcy. We wrześniu 1943 r. przenieśliśmy się z Włodzimierza do Uściługa⁶ i zamieszkaliśmy w budynkach popałacowych. Tu mieszkaliśmy do końca grudnia 1943 r., a potem przedostaliśmy się na drugą stronę rzeki Bug i zamieszkaliśmy w Strzyżowie⁷, aż do jesieni 1944 r. W październiku wyjechaliśmy ze Strzyżowa i trafiliśmy do Łabuniek pod Zamościem. [...]

⁵ Wieś w gm. Mikulicze.

⁶ Miasteczko nad Bugiem, w pow. włodzimierskim.

⁷ Wieś w pow. hrubieszowskim.